

Jerzy Ryx

A było tak...

Przegląd Pruszkowski nr 2, 83-87

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

A BYŁO TAK...

Cichy był wieczór 16-go października 1914 roku. W dzień od samego rana ciągnęły drogami w stronę Warszawy całe tabory i oddziały wojska rosyjskiego, ustępujące pod naciskiem nacierających Niemców.

Wieczorem jednak około kościoła naszego zalegał spokój niemal zupełny. Tylko dwa telefony wojskowe, umieszczone w kancelarii plebanji żbikowskiej, pracowały bezustannie, a głośne, niemal krzykliwe rozmowy telefoniczne komendy odcinka Pruszków-Ołtarzew, rozlegały się od czasu do czasu wśród ciszy.

Po domach już niewielu zostało mieszkańców. Większość, ratując skromne mienie, wyjechała do Warszawy lub za Wisłę, pozostali tylko starcy, którym obojętnym było, gdzie przyjdzie życie zakończyć, biedne wdowy z dziadkami, które nie miały ani dokąd ani czem wyjechać, wreszcie ten i ów z pośród dojrzałej ludności.

Pozostał i proboszcz żbikowski, ksiądz Makowski, który w ten oto wieczór październikowy wyszedł na wzgórek przed swoją ukochaną świątynię i szepcząc modlitwy za dusze w tej chwili tak licznie umierających rannych, spoglądał na okolice, gdzie w stronie Piaseczna, Nadarzyna, Grodziska i Sochaczewa łuny pożarów znaczyły obecność Niemców.

Od czasu do czasu głuchy pomruk armat dawał się słyszeć, lecz powoli i te głosy cichły, a noc gwiazdzista i księżycowa, rozświetlana jeszcze łunami pożarów owijała wszystko, jeżeli nie do snu – to przynajmniej do chwili wytchnienia po całodziennych utrapieniach.

W tej chwili nadszedł od plebanji wierny towarzysz proboszcza wikary Poskrobko i odezwał się w te słowa: *Ojczy duchowny,*

czas odpocząć – herbata już podana, a i komendant wprosił się do kompanji.

Powrócił więc proboszcz do domu, gdzie zastał już w pokoju stołowym komendanta z adjutantem i lekarzem wojskowym. Gdy zasiedli wszyscy do stołu, odezwał się komendant:

– Nu š, gospadin ksiądz. Jutro będzie tu ciepło. Mam wiadomość, że naprzeciwko mego odcinka ustawili Niemcy cztery baterie armat polowych. Wasz kościół jako najwyższy punkt w okolicy jest w niebezpieczeństwie, tym bardziej, że oni wiedzą o moich obserwatorach na wieży kościoła. Ja wam radzę z dobrego serca, wyjechać tej nocy do Warszawy. Właśnie tu obecny lekarz jedzie za pół godziny w sprawach sanitarnych, to was weźmie ze sobą na wózek.

– Wola Boża, komendancie – odpowiedział ksiądz Makowski – jesteście żołnierzem, więc mnie zrozumiecie gdy wam powiem, że tak jak wy nie cofniecie się ze stanowiska, chyba że władza wasza wam rozkaże, lub siła was przemoże, tak i ja, jako sługa i żołnierz Kościoła, mam rozkaz od mojej władzy wytrwania na miejscu, aż do chwili, gdy moje życie wyraźnie będzie zagrożone. Na razie nic mi nie grozi, więc pozostanę, a co dalej będzie, to w rękach Bożych.

– Ha jak chcecie – odparł komendant – ale pamiętajcie gospadin ksiądz, zem was ostrzegal, bo jutro może być już za późno...

Po tej rozmowie wszyscy udali się na spoczynek.

Nazajutrz, jeszcze szary świt nie rozpedził mroków nocy, gdy głośny huk armat niemieckich rozbudził księdza proboszcza. Szybko zmówiwszy ranną modlitwę, wybiegł przed dom. Tuż pod kościołem, od strony północno-wschodniej, stał komendant w grupie oficerów, z których jeden trzymał przy uchu słuchawkę telefonu i raz wraz raportował to co mówiono z wieży, gdzie za framugami okien stali rosyjscy wywiadowcy. Po chwili zgodnie z wskazówkami obserwatorów, zagrały także i baterie rosyjskie, ukryte poza ogrodem i budynkami, kierując ogień głównie na kościół w Rokitnie. I tak rozpoczął się ten koncert stalowych potworów.

Pierwsze strzały niemieckie nie donosiły i bomby pękały w polu przed kościołem. Rosyjskie baterie, większego kalibru i dokładniej na odległość nastawione, skuteczniej ostrzeliwały nieprzyjaciela zamieniając w gruzy świątynię w Rokitnie. Wkrótce i niemiecki ogień stał się skuteczniejszy.

Po godzinie ostrzeliwania, pierwsza bomba trafiła w kościół żbikowski.

Rozległ się brzęk wylatujących przepięknych witraży, a potem i mur sypać się zaczął pod razami pocisków. Rozmowa telefoniczna ciągle trwała. Nagle straszny huk rozdarł powietrze.

To granat niemiecki dużego kalibru trafił w wieżę, robiąc w niej olbrzymi wyłom i zrzucając dzwony, z których jeden osiadł na krawędzi górnego okna.

Telefon przestał działać. Wnet pojawiła się grupa pokrwawionych i w podartych mundurach obserwatorów, niosących poległego na wierzy towarzysza. Zmarłego położono na trawie, a reszta na rozkaz komendanta wdrapała się na najwyższe drzewa parku żbikowskiego, zaprowadzając nową komunikację telefoniczną.

Ksiądz Makowski z wikarym, otoczony strwożoną gromadką mieszkańców Żbikowa, tych, którzy jeszcze do tej pory trwali w swych siedzibach wszedł do podziemi kościoła, gdzie zapalono świece przed krzyżem Zbawiciela, wiszącym na ścianie ponad małym, prowizorycznym ołtarzykiem i wkrótce pieśń pobożna, błagalna zaintonowana ze stopni ołtarza złączyła ze sobą te biedne strwożone istoty, chroniące się do podziemia kościelnego jak pierwsi chrześcijanie w katakumbach rzymskich – przed prześladowaniem pogan.

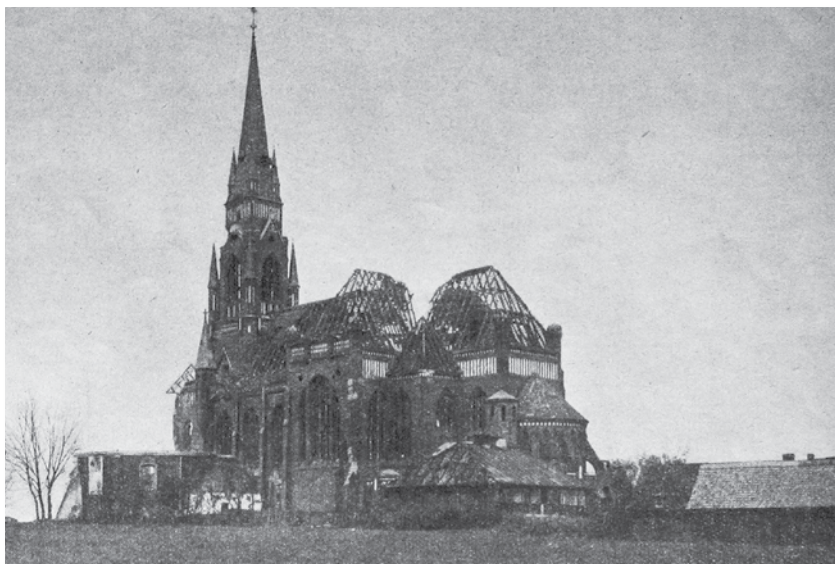
Ksiądz Makowski był spokojny. Powinność swoją wypełnił całkowicie – wszystkie cenniejsze naczynia i przedmioty kościelne a zwłaszcza takie jak: monstrancja, cenniejsze kielichy, ozdobna puszka do komunikantów i inne przedmioty srebrne lub pamiątkowe, były wywiezione. Na miejscu pozostał tylko najskromniejszy kielich mszalny i puszka z komunikantami pochodząca jeszcze ze starego kościoła, umieszczona w wielkim ołtarzu. Modlił się proboszcz żar-

liwie, aby Bóg raczył ocalić życie tej chociaż drobnej garstce ludzi, która się z bezwzględny zaufaniem powierzyła opiece Boskiej.

Komendant nie widząc obok siebie ani proboszcza, ani gromadki ludzi, był mocno przekonany, że wszyscy ratowali się ucieczką. Rad był z tego zresztą, bo sam będąc widocznie dobrym człowiekiem, polubił przez te kilka dni współżycia dobrego proboszcza, a i żał mu było tych biednych ludzi bezradnie stojących pod kościołem. Było to mu nawet na rękę, że już niczem nie krępowany będzie swobodnie mógł wydawać rozkazy, wszelkie zarządzenia wojskowe.

Wtem z podziemi kościoła słyszy śpiew zbiorowy. Udaje się tam, by sprawdzić rzecz osobiście, otwiera drzwi wejściowe i zastaje całą gromadkę otaczającą ołtarz oświetlony i proboszcza, zatopioną w modłach i śpiewach. Widok ten do głębi musiał go poruszyć, bo zdjawszy czapkę szedł na dół po schodach i przykleknąwszy obok proboszcza cichym i spokojnym głosem powiadomił go, że wkrótce kościół może runąć i zawalić swym ciężarem całe podziemie i wszystkich, co tu się schronili, przeto należy co rychlej uchodzić w kierunku Warszawy:

– *Komendancie! A puszka z komunikantami w kościele?*



– Chto takoje? Acha, – panimaju nus tak wy, gaspadin ksiądz, jezeli śmierci nie boicie idźcie do kościoła i bierzcie co wam nużno, ale daję wam na to tylko dziesięć minut, a potem każę was mym żołdatom wziąć pod ręce i odprowadzić w pole na jedną wiorstę.

Ksiądz Makowski ani się zawahał, lecz szybkim krokiem wszedł przez zakrystię do prezbiterium.

W tej chwili bomba niemiecka czyni wyłom w sklepieniu kościoła i olbrzymie kawały gruzu z ogłuszającym hukiem wał się do nawy kościoła, zasypując cały kościół. Sekundę zawahał się proboszcz, ale po chwili, bez względu na padający deszcz szkła z okien kościelnych, wstrząsanych hukiem armat rosyjskich, bez względu na to, że może za chwilę sklepienie całe się zawali, bo już większa część dachu wraz z miedzianą sygnaturką zapadła się, biegnie do ołtarza, na sekundę przykłęka, szybko otwiera tabernakulum chwytając puszkę z komunikantami i przeżegnawszy się uchodzi do zakrystii. W tej chwili przez wyłom zrobiony w ścianie frontowej kościoła ponad chórem, wpada niemiecki granat i pęka na tysiące części przed wielkim ołtarzem. Jedna minuta wcześniej, a ksiądz Makowski byłby poległ jak bohater i męczennik za wiarę na stopniach ołtarza...

I szedł przez pola smutny pochód! Na czele kapłan z siwym włosiem w starej zniszczonej sutannie, trzymając w obu rękach puszkę z Najświętszym Sakramentem, a za nim gromadka starców, kobiet, wyrostków i dzieci zbiedzonych, zgłodzonych, niemal w łachmanach utykając po bezdrożach, polach za oranych, przechodząc bosą nogą przez mokradła i rowy.

A jednak prawdziwa wiara ich nie zawiodła i Bóg dozwolił, że nikt z tych biednych uchodźców życia nie postradał, a świątynia nasza znów stoi odrodzona i świetna w swej dawnej krasie. Ci co Polskę rozdrapali – upadli, a Polska wolna i coraz bardziej siłą nabierająca, staje się jednym z najbardziej potężnych państw świata. Świątynia zaś żbikowska, staje się niejako symbolem tej epoki, której nawet siły piekielne nie zmożą.